JAN BUŁHAK

WĘDRÓWKI FOTOGRAFA



KRAJOBRAZ WILEŃSKI

I

JAN BUŁHAK

WĘDRÓWKI FOTOGRAFA

W SŁOWIE I W OBRAZIE

Wychodzą pojedyńczemi zeszytami objętości około 2 arkuszy tekstu. Zeszyty są bogato ilustrowane obrazami fotograficznemi autora lub złożone z samych obrazów z objaśnieniami, przyczem każdy zeszyt stanowi oddzielną całość.

Utworzą cykl malowniczych albumów Wilna i Ziemi Wileńskiej o jednolitym planie i o wytwornej szacie zewnętrznej, gdzie zarówno tekst jak i obrazy wzajemnie się dopełniają, tworząc artystyczną całość.

TREŚĆ „WĘDRÓWEK FOTOGRAFA"

Zeszyt 1. Krajobraz Wileński
Zeszyt 2. Wilno — Świętości i klejnoty
Zeszyt 3. Kalwarja Wileńska
Zeszyt 4. Wody i drzewa Ziemi Wileńskiej
Zeszyt 5. Przez Ponary do Trok (w druku)
Zeszyt 6. Brzegi Wilji (w druku)
Zeszyt 7. Dwory Ziemi Wileńskiej (w druku)

DALSZE ZESZYTY „WĘDRÓWEK FOTOGRAFA" W PRZYGOTOWANIU

NAKŁADEM I DRUKIEM LUDWIKA CHOMIŃSKIEGO

WĘDRÓWKI FOTOGRAFA

W SŁOWIE I W OBRAZIE



J A N B U Ł H A K

WĘDRÓWKI FOTOGRAFA

W SŁOWIE I W OBRAZIE

I.

KRAJOBRAZ WILEŃSKI

Wydanie jubileuszowe ku upamiętnieniu 25-cio lecia pracy artystycznej autora

W I L N O
NAKŁADEM I DRUKIEM LUDWIKA CHOMIŃSKIEGO
1 9 3 1

JAN BUŁHAK

EXCURSIONS D'UN PHOTOGRAPHE

EN PAROLE ET EN IMAGE

I.

LE PAYSAGE DE WILNO

WILNO (POLOGNE)
LUDWIK CHOMIŃSKI, ÉDITEUR
1931

JAN BUŁHAK

EXCURSIONS OF A PHOTOGRAPHER

IN WORD AND PICTURE

I.

THE LANDSCAPE OF WILNO

WANDERUNGEN EINES PHOTOGRAPHEN

IN WORT UND BILD

I.

DIE LANDSCHAFT VON WILNO

OD WYDAWCY

Skarby piękna Wilna i krajobrazu Ziemi Wileńskiej, dostępne dla znawców i dla tych, którzy potrafili okiem artysty spojrzeć na nie i uchwycić z paletą czy objektywem w ręku tę jedyną chwilę, gdy gra barw, świateł i cieni daje się uchwycić w nieprzemijający obraz ku radości oka, — skarby te pragniemy udostępnić w rozpoczynającem się niniejszym zeszytem wydawnictwie — tym wszystkim, którym czas i warunki nie pozwalają na swobodne wędrowanie z wyłącznym celem rozkoszowania się pięknem otaczającego świata.

Dwadzieścia pięć lat niezmordowanych „Wędrówek Fotografa" tej miary co Jan Bułhak, warte szerszego rozpowszechnienia, znajdą w tych skromnych zeszytach choć skąpe upamiętnienie, tem milsze, że uzupełnione szkicami pióra autora, wykazującemi raz jeszcze, że objektyw i płyta fotograficzna dokazać mogą cudów, gdy są w ręku szczerego artysty. L. Ch.

ROZSZERZONY NOWODRUK
Z WYDAWNICTWA
„WILNO I ZIEMIA WILEŃSKA"

ODBITO W DRUKARNI „LUX", WILNO, PORTOWA 7



Listopad Novembre



Chaty w śniegu — Chaumières sous neige

„Miłowanie jest dzieckiem wiedzy. Im wiedza jest głębsza, tem płomienniejsza—miłość".

Słowami temi przed kilkuset laty wyraził Leonardo da Vinci tę podświadomą, wszystkim właściwą dążność do poznawania tego, co się kocha, ażeby je umiłować tem mocniej.

Słowa te nabierają wagi przykazania w obliczu naszego krajobrazu, który, ciesząc oko, jednocześnie raduje serce patrzącego, a w umyśle budzi nieraz pytanie, w czem właściwie leży zagadka jego nieprzepartego czaru, w czem kryje się tajemnica jego przemożnego oddziaływania na naszą uczuciowość? Dlaczego porusza on tak władnie strunami naszej duszy i wibrować im każe w doskonałej współdźwięczności? Dlaczego zaćmiewa wszystko najpiękniejsze, gdzieindziej widziane i podziwiane, dlaczego staje się najwyższym wyrazem uwielbienia, niczem niezastąpionym przedmiotem ukochania dla wszystkich, od naiwnego prostaka do genjalnego poety?

Spróbujmy spojrzeć uważnie i badawczo w oblicze ziemi, a odpowiedź znajdziemy bez trudu.

Krajobraz nasz jest bezludny, pierwotny, dziki, nieujarzmiony. Istnieje sam dla siebie ogromem przestrzeni i dali, rzeźbą powierzchni, pełną wyrazu i wdzięku, otuleniem w leśne obszary, gęstwiny i smugi. Ma nieobjętą wielkość, samotną ciszę i wnętrzne zadumanie żywiołu i wieczności. Ma jego niezmierzoną, samoistną moc, wobec której człowiek i sprawy człowiecze są znikomym dodatkiem, ginącym jak pyłek w jego ogromie i dla tej znikomości tolerowanym pobłażliwie. Gdzieindziej ludzie zdołali opanować przyrodę i przekształcić krajobraz na własną modłę o wątpliwej wartości estetycznej. U nas — człowiek nietylko nie potrafił tego uczynić, ale nawet nie chciał próbować nierównej walki z niezwyciężonym mocarzem i wolał sam mu się poddać dobrowolnie. A takie współżycie człowieka z krajobrazem nie mogło wytworzyć rozdźwięku, ponieważ nie była to inwazja chciwego przybłędy — kupca, tylko mocne, przystosowane zrośnięcie odwiecznego mieszkańca, rolnika i dziedzica.

Krajobraz nasz jest przytem *północny*, lesisty, falisto-pagórkowaty, rzeczny i jeziorny. Ma wszystkie charakterystyczne cechy północy, jeszcze pierwotnie bezludnej. Bogaty w zieloność i wilgoć, nie jest nigdy prażony i katowany przez słoneczne żary, jak kraje południowe.

Słońce dla niego jest miłościwym ojcem, gościem dobrej nowiny, widzianym rzadko i miłowanym serdecznie, głęboko i radośnie, jak samo życie. Słońce jest genjalnym malarzem, który ze swej subtelnej palety barw pastelowych odziewa kolorową szatą krajobraz, targany i obnażany w zimowe półrocze przez wichry i śnieżyce. Słońce nasze, więcej świecące niż grzejące, stacza nieustanną walkę z wiewem północy, tem więcej kochane, im bardziej zwycięskie. A walka ta z wichrami przynosi jeszcze jedną cudowną zjawę: nasze wysokie, głębokie, obłoczyste niebo, po którem suną, przechodzą, znów nadpływają, przelewają się, piętrzą, kotłują chmury w niezliczonych kształtach i barwach. Gdzie na zachwalonem południowem niebie, wiecznie jednakiem w swej banalnej lazurowości, zobaczy kto takie cuda, jakie u nas są codziennem widowiskiem? Chmury—upiory i apokaliptyczne bestje; chmury—śnieżne górskie szczyty i zastygłe lodowce; chmury—flotyle żaglowych statków i wełnistych baranków stada; chmury—kopulaste zwieńczenia bajecznej architektury, lub archanielskie skrzydła, pogubione i rozsiane w przelocie po błękitnych rozłogach; chmury—tysiączne zespoły barw nieopisanie pięknych, tysiączne zatory kształtów wabiących nieznużenie oko, nienapatrzonych, wieczyście różnych i zmiennych...

Chmury—ten wynik nieustannej walki słońca z podmuchem lodowego bieguna — ten skarb bezcenny naszego krajobrazu — to dar północy.

Określmy krajobraz krótkiem słowem. W przeciwstawieniu do *zniewolonego* krajobrazu środkowo-europejskiego — jest on *nieujarzmiony i wolny*, *pierwotny i dziki*, a przez jego oblicze, pełne niestartego wyrazu i sentymentu, łatwo przeziera—jego dusza.

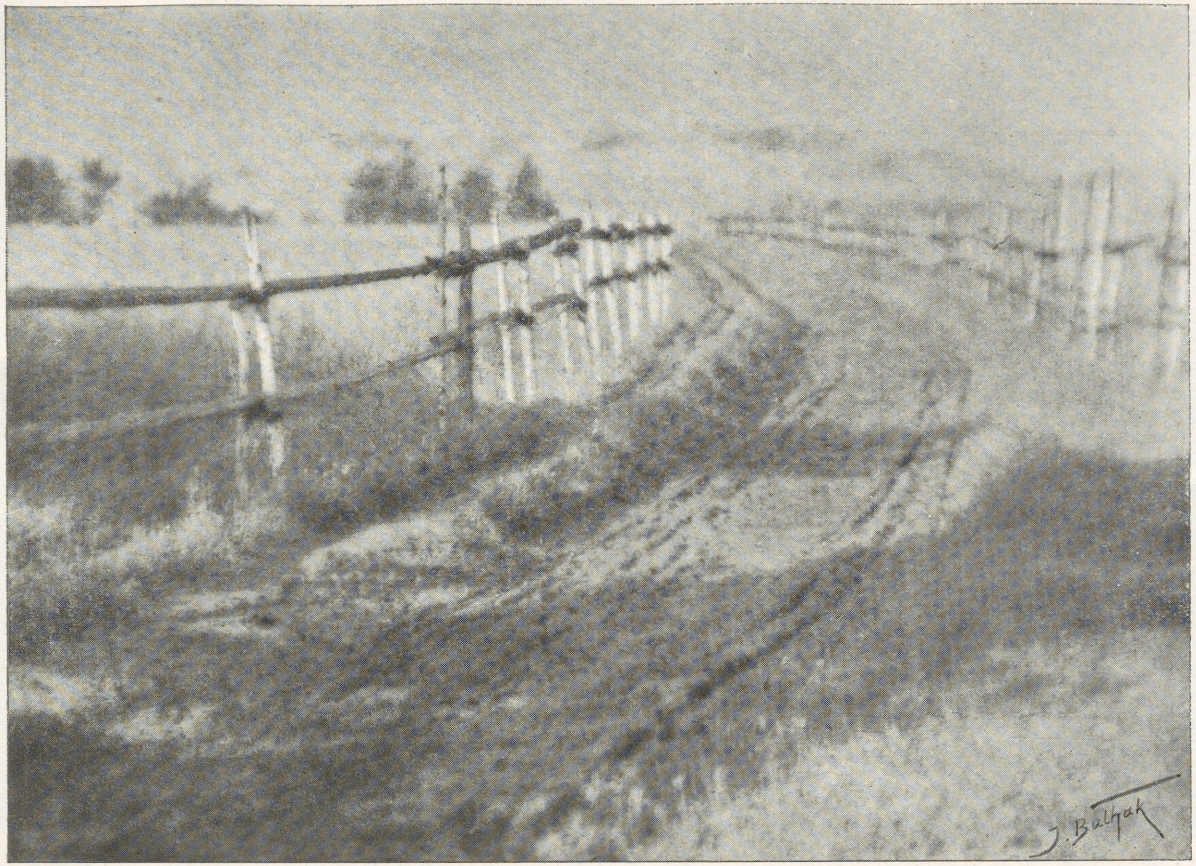
A teraz—oczywiście—przychodzą wszystkie konsekwencje ujemne tej charakterystyki. Nie zaprzeczymy, ile razy ktoś zechce powiedzieć o naszym krajobrazie, że jest odludny i nieuporządkowany, niedogodny dla podróży i turystyki, nastręczający przyjezdnym moc przeszkód i utrudnień, nieznanych krajom cywilizowanym. Wolno obcemu mówić o jego bezbarwności i monotonji, ubóstwie i nikłości wyrazu—przecież i pastel jest taki w porównaniu z malowidłem olejnem—a gdzieżby naszym dolinom i pagórkom równać się z południowemi cudami gór, skał, przepaści i morskich odmętów? Niewątpliwie bardzo wiele usterek, bardzo mało ponęty znajdzie w tym krajobrazie oko śpieszącego przejezdnego komiwojażera.

Ale za to—spróbujmy spojrzeć wokoło z innej strony, z naszej wewnętrznej, autochtonicznej. Dajmy przyjść do głosu tym tajemnym zrostom duszy naszej z duszą ziemi. Zawołają one gromko, przekonywująco, serdecznie—aż się rozlegnie echo, któremu ziemia natychmiast odpowie.

Pójdźmy sobie drogą, pierwszą lepszą, choćby przez Kuczkuryszki i Puszkarnię do Wilejki. Ale nie teraźniejszą szosą, tylko dawną



 Gościniec — Grande route



Opłotki

Les haies

polną drogą, co wije się, skręca, spada i wznosi w labiryncie wąwozistych pagórków, w roześmianiu zielonych dolinek, w cienistości leszczynowych gardzieli, przez które prześwieca kamieniste łożysko szumiącej rzeki. Przecież sama linja graficzna tej drogi jest całym poematem dostrzeżeń i niespodzianek, pełnych głębokiej wymowy! I to tak dalece, że nawet skaleczenie drogi przez regularniejszą wstęgę szosy niewiele potrafiło ująć wdzięku krajobrazowi, gdyż nie szosa opanowała przyrodę, tylko przyroda zwyciężyła szosę i włączyła ją do swego estetycznego inwentarza.

Albo też wyjdźmy za miasto z drugiej strony —od Zwierzyńca przez Karolinki. W sosnowych wąwozach droga, jak huśtawka, przerzuca zdumionego wędrowca na różne wysokości, ukazując nagle to pokrętne perspektywy Wilji, to widmowe kontury dalekiego miasta, to znowu ciemnozielone leśne czeluście, jakgdyby przyroda się sprzysięgła, by tu utworzyć doskonały prototyp przyrodzonego lunaparku, o ileż ciekawszego i szlachetniejszego od sztucznych. A potem wiedzie przechodnia kapryśnica-droga, jakby dla chwilowego wypoczynku, wysokiem płaskowzgórzem, gdzie nie może wytrzymać, by nie poigrać meandrami fantastycznie niepotrzebnej kręcizny — a to wszystko po to, by wreszcie runąć z pieca na łeb w zieloną dolinną łączkę i wgnieść oszołomionego w starodrzewne gęstwy Zameczka, wydać go na pastwę kwilących słowików, rechoczących żab i jakiejś cichej modrej wody z utopionemi w niej wierzbowemi czubami...

Wyjdźmy jeszcze serpentyną szosy, która się pracowicie wspina ku Ponarskiej kaplicy, a, ogarnąwszy okiem rozległą okolicę i siniejące w dali miasto, rzućmy się lasem w bok i dotrzyjmy przez Garuny do najwyższego łysego wzgórza, co się rozpiętrza nad spadzistem pobrzeżem Wilji wraz z uczepioną do niego kurczowo wioseczką Nieskuczną i spójrzmy stamtąd na niezmierną panoramę, w której dramatyczna powaga i wielkość walczą o lepsze z wzorzystością mozaiki, w której oko gubi się jak w nieskończoności, a wyniesienie ponad wszystkie poziomy dech w piersi tamuje.

Albo wreszcie porzućmy na dziesiątym kilometrze trakt Niemenczyński i leśną drożyną poszukajmy niedalekich Giełwadziszek, prześlicznego zaścianka, położonego na samym skraju urwistego brzegu Wilji. Tam od chaty do chaty prowadzą ścieżki z widokami na zielone łąkowe tarasy, spięte klamrą błękitnego rzecznego łuku. Te widoki—to strofy lirycznego poematu, a ścieżki, co je kolejno ukazują, mają przekorny uśmiech fauna, radego z wyczynionej oszałamiającej niespodzianki. Okalając wysokie wybrzeże zawrotnemi zygzakami, zdają się one rzucać przechodniowi triumfujące pytanie: „A co? widzisz, jak tu pięknie?"

I tak — którędykolwiek byśmy wyszli z Wilna—wszędzie drogi posiadają tę swoistą wymowę malowniczego związania z krajobrazem,

w którym są nietyle środkami komunikacji pośpiesznej, ile okazjami do kontemplacji bardzo powolnej, ale jeszcze bardziej bogatej we wrażenia.

Podobne drogom są naturalnie i ścieżki polne lub leśne. Wijące się żmijowato, mają też w sobie chytrą przywarę wężowej natury: nigdy niewiadomo dokąd za chwilę skręcą, zapadną się lub wzniosą— nigdy nie pójdą uczciwą, prosto do celu prowadzącą, linją kierunkową. Przebiegłe i obłudne, udają tylko czynności komunikacyjne, a w gruncie rzeczy podwajają odległości i nastręczają idącemu wszelkie najlepsze sposobności do spóźnienia i gapienia się po drodze na wszystko, co jest wokoło. A to dlatego, że człowiek, co je niegdyś wydeptał, miał dużo czasu i nigdzie się nie śpieszył, dlatego że tworzył je przypadkowo i odruchowo, podobnie jak naprzykład każda mowa ludzka tworzy słowa pełne wyrazu i barwy w przeciwstawieniu do sztucznego i spekulatywnego „esperanta". (Esperanto jest właśnie szosą— oboje są równie brzydko pożyteczni).

Sieć naszych domowych „komunikacyj" niech uzupełni miedza, ten cudowny wynalazek polskiej niepraktyczności. Ta już, pomimo najlepszej chęci, musi zachowywać pewną prostolinijność, gdyż rozgranicza kwadraty i sznury pól, ale od czegóż falistość terenu, czyniąca go podobnym jakiejś tygrysiej skórze, pręgowanej miedzami. A na nich jakaż rozmaitość rzeczy nietylko niepotrzebnych, ale wręcz szkodliwych z punktu widzenia postępowego rolnictwa, i dlatego może pełnych pierwotnego piękna: te samotnice — grusze lub czubate kępy łozy czy brzeziny, te rojowiska traw i kwiatów, obrastających kępy i kamionki i zapraszających do lubych wczasów pod szeleściwą ścianą płowego żytniego łanu! Miedza w Polsce zabiera — wiemy o tem z grubych statystycznych tomów — tyle a tyle tysięcy hektarów ornego pola i jeszcze więcej miljonów złotych rocznego dochodu, zyskiwanego zagranicą w brzęczącej gotówce. Ale jakież lichwiarsko bogate odszkodowanie znaleźć można na tej miedzy wśród chwiejnych kit brunatnej i srebrnej mietlicy, wśród liljowych kępin pachnących cząbrów, w towarzystwie lekkomyślnie rozśpiewanych koników polnych i świerszczy!..

Droga w Wielkopolsce i na Pomorzu jest oczywiście bez porównania lepsza niż nasza. Jest wszędzie jednakowa, doskonale równa i ubita. Ma tyle a tyle metrów nienagannej jezdni, rzędy białych kamieni po bokach i linje regularnie posadzonych drzew, ustawionych jak żołnierze na mustrze. Posiada łagodne spadki i zakręty, linję kierunkową przeważnie prostą, i daje się przejechać z zegarkiem w ręku— w cztery minuty kilometr końmi, a w półtorej samochodem. Ale na tem — już koniec jej przewagi. Nietylko sama nie mówi nic, ale milczeć każe okolicznemu krajobrazowi, rozcina go na dwie odrębne połowy, odrzuca je niejako na stronę po za swe twarde geometryczne granice. Czyni krajobraz nieobecnym, spostponowanym, uciekającym



Brzozowy gaj — Bosquet de bouleaux



Jezioro Głębokie i Berezwecz

Le lac Głębokie

szybko i wstydliwie w dal, jak jakieś niepotrzebne akcesorja sprawy głównej i jedynej — arterji komunikacyjnej. To też szosy i krajobraz dokoła nich, są tam wszędzie mniejwięcej te same, i różnią się głównie — napisami drogowskazów i ilością kilometrów. Przyniosły podróżnikom wielkie udogodnienia — ale kosztem duszy, która z nich uleciała.

A nasze drogi nie głuszą krajobrazu. Przeciwnie, łączą się z nim organicznie, wtapiają się w jego zieloną rozmaitość i, jak sieć żył w ciele ludzkiem doprowadza krew do najdalszych kończyn, tak one, te polne i leśne dróżki, wiją się wszędy po ciele ziemi, krzyżują, schodzą i rozchodzą. Wydają się być stworzone nie po to, by skierować dokądś przechodnia prosto i prędko, tylko raczej właśnie w tym wręcz przeciwnym celu, by ten szedł jaknajdłużej i doszedł jaknajpóźniej z powodu lubych dystrakcyj, jakie mu na każdym kroku nastręczają. Są one jakgdyby naturalnemi przewodnikami krajoznawczemi, wysłańcami troskliwej matki-ziemi do jej nieuważnych dzieci. A ziemia woła przez nie zcicha na przechodnia: „nie śpiesz, odpocznij, popatrz, pożyj... nie szukaj szczęścia daleko... ono jest tutaj... wszędzie, gdzie rzucisz okiem...”

Taka jest dusza naszej drogi i podobna jej dusza mieszkańca tej ziemi. Rzadko przemierzał on ją jako kupiec, goniący za groszem, a wydeptał ją całą własnemi nogami jako rolnik, odwiecznie zasiedziały. Oboczne pola, łąki i gaje były treścią jego codziennych myśli i zabiegów, miejscem jego pracy i wytchnienia, przedmiotem jego przywiązań i oczekiwań, więc nie odskocznię obcego, dalekiego celu widział w drodze do nich, lecz sprawę domową i bliską, organicznie związaną z całym swym rolniczym bytem.

Z drogi zejdźmy na pola i łąki. Wszędzie ileż karygodnej, zacofanej, miłej, malowniczej niepraktyczności! Nie są to właściwie objekty rolne, opanowane przez uczonego agronoma i doprowadzone do wyglądu szachownicy lub planu o wyraźnie odgrodzonych i zakolorowanych płaszczyznach z napisem: „produkcja żyta, koniczyny, buraków” i t. p. Nasze obszary rolne, to raczej ogromna dzika kanwa przyrody, którą gospodarz-dyletant próbuje gdzieniegdzie zabarwiać wyszywankami swych zasiewów. Ale władczyni-przyroda z uśmiechem politowania udaremnia te niemrawe wysiłki człowieka, wsiewając pomiędzy jego ubogie ziarno różnobarwne kąkole swej roślinnej bujności. Więc łąki zarastają tysiącznemi kwiatami i chwastami, pękami olszyn i wikliny, pola jeżą się od przeróżnych drzew i całych gajów, brzeźniaki i wrzosowiska wychodzą z zagajników na przechadzkę w zasiane pola i zostają wśród nich nazawsze, nietykane przez niefrasobliwego oracza.

I tak powierzchnia ziemi bezboleśnie znosi nieszkodliwą obecność człowieka, przystosowując się tylko zlekka do jego skromnych potrzeb — i dłuży się, szerzy, idzie w nieskończoność zieloną,

kwiecistą, różnowzorą krainą, gdzie wszystko zgodnie żyje i dysze prostem pięknem pierwotności, gdzie człowiek razem ze skowronkiem chwali Pana Boga tą samą mową, jaką Go chwalił przed lat tysiącem.

Byliśmy już nieco weszli do królestwa drzew od strony pola. Zróbmy krok jeszcze dalej i wstąpmy do olchowej kępy nad brzegiem ruczaju, do brzozowego gaju, co się przytulił na zboczu pagórka, a potem zaszyjmy się w sosnowym lesie, w świerkowym uroczysku. Pierwotność tych leśnych przestrzeni nadaje krajobrazowi piętno jeszcze bardziej charakterystyczne, tchnie jeszcze mocniejszym i dzikszym wdziękiem. Te gaje i dąbrowy — to są przecież jakby staroświeckie wiersze Klonowicza lub sielanki Brodzińskiego, jakby wiejskie piosenki na pastuszych wygrane fujarkach! (pola i łąki — to były wioskowe kilimy i pasy barwnie tkane). Tych gaików, płaczących brzozami, szumiących sosnami wśród pól zbożowych, tych borów, zalegających olbrzymie połacie kraju — w Europie już niema wcale, gdyż zostały one z matematyczną ścisłością skomasowane i przemienione w regularne prostokąty leśnych kultur o określonym gatunku i drzewostanie. Tam las wygląda jak magazyn żywego surowca, z wyczyszczonem podłożem gruntu, z jednakowemi odstępami od drzewa do drzewa, z tablicami wiadomości i zakazów, z przeraźliwą nudą rzeczy, odartej z życia i duszy. Z powodu nieobecności tej ostatniej lasy rentują oczywiście znacznie lepiej, niż nasze przetrzebione i znów dziko zarastające leśne pustkowia. Ale tylko w naszym lesie czuć się może człowiek po dawnemu, jak za czasów Piasta czy Giedymina, bo las ten żyje naprawdę i naprawdę tchnie szumnym i szerokim wiewem prawiecznego istnienia. W nim jedynie znaleźć można samotną wolność bezludzia twarzą w twarz z nieujarzmionym żywiołem puszczy. A za tą samotnością każdy tęskni niekiedy, a czasem potrzebuje jej gwałtownie, za wszelką cenę i gotów jest porzucić obcowanie z najmilszymi ludźmi dla samotnego leśnego błąkania.

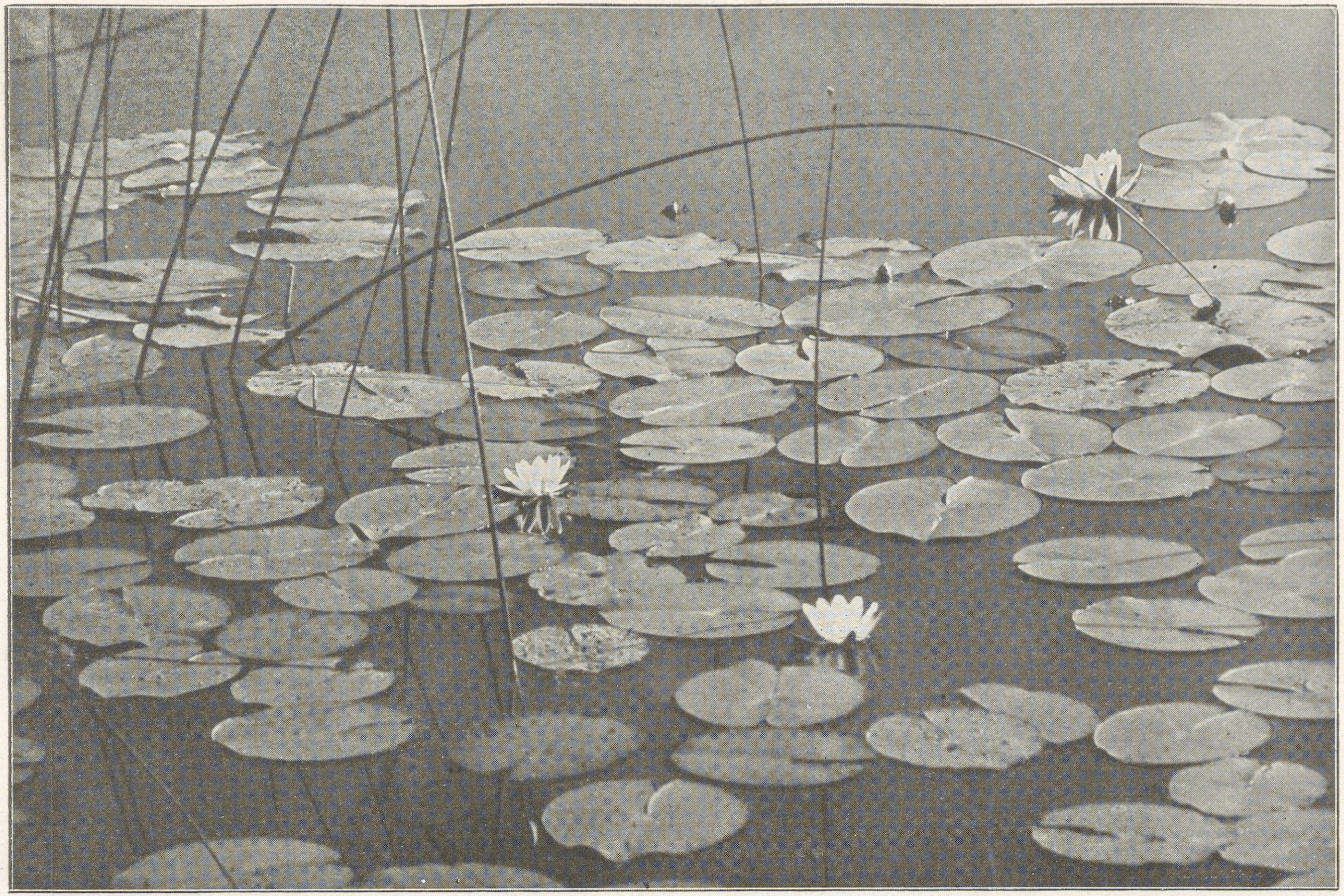
Nie mogę mówić dłużej o lesie, gdyż łatwo w nim nadobre zabłądzić, zagubić się w jego ogromie i nigdy nie dojechać do kresu podróży.

A chciałbym jeszcze zapaść się w jakiś wąwóz z zimnym strumieniem na dnie, i wyjrzeć ze wzgórza na szeroką, daleką okolicę, i wstąpić do jakichś ludzkich osiedli. Więc tylko dodam, że nigdzie tak, jak w lesie naszym, nie występuje zupełna, nieskrępowana swoboda i niezależność krajobrazu od człowieka, nigdzie nie przemawia bardziej wymownie, mocno i malowniczo. Niszczy wciąż nasze lasy niepraktyczna siekiera lekkomyślnego użytkownika, ale bezsilna jest zmienić ich charakter, odebrać im ich dzikie piękno. Las stoi i gada po dawnemu, odwieczny, szumny, niezgłębiony, jak morze, a każde jego drzewo jest potężną emanacją żywiołu, cudownem objawieniem życia,



Las nad Naroczem

Forêt au bord du lac Narocz



Lilje wodne Nenuphars

którego nie wypowiedzieć słowem, które tylko sercem i wyobraźnią wyczuć można.

Czas nagli — ale na małą jeszcze chwilkę zanurzmy się w jakiś jar nad Wilenką, gdzie w wilgotnych olchach i leszczynach króluje chłodna cienistość, a w rozdąsanem kamienistem łożysku woda w słońcu migota zwierciadłowem polśniewaniem polerowanego metalu. A potem pracowicie wspinając się wśród zdziczałej gęstwy zarośli, dotrzyjmy do wyniosłego brzegu i spójrzmy z góry, jak wdzięcznie wywija się rzeka pokręconem, w dal uchodzącem wężowiskiem. A gdy już się zgadało o wodach, ilebyśmy mogli powiedzieć o naszej północy święciańsko-brasławskiej, o kraju tysiąca jezior, o tej niewymownie pięknej, zielono-błękitnej mozaice pagórkowatego kraju, gdzie królują takie olbrzymy wodne, jak Narocz, Dryświaty, Świr, Drywiaty, Miadzioł w przybocznej asyście niezliczonego pomniejszego jeziornego ludu. Gdzieś koło Zielonych Jezior, pod Birami lub Krzyżakami wedrzyjmy się na potężny forteczny bastjon wielopiętrowego brzegu Wilji i uradujmy oczy jej surową pięknością i rozłożystym, rozlewnym wdziękiem okolicznego krajobrazu, co nietknięty, stuleciami niezmieniony, spogląda w kojącej, cichej bezludności ku wysokiemu niebu i żeglującym śnieżystym zwałom chmur.

Albo zejdźmy ku Wilji z potężnych przyrodzonych wałów pod Krzyżakami, które jakiś prahistoryczny kataklizm wysadził i wypiętrzył, jak naturalną fortecę, przeprawmy się przez rzekę i zwiedźmy po kolei te rozkoszne okoliczne osiedla, stworzone zda się wyłącznie po to, by człek mógł radować się, że żyje i dziękować Stwórcy za radość istnienia—zwiedźmy te Wierszuby, Lipówki, Wiry i inne folwarki i zaścianki, z których każdy rozsiadł się wygodnie na całym kilometrze malowniczego brzegu, zaszył się w jego leśnej gąszczy, jak słowik w nadbrzeżnej łozinie, i, jak słowik, wyśpiewuje liryczne zwrotki linją, kształtem i barwą. Niewiem dokładnie, Biry, czy Wiry zwać należy naprzykład uroczą sadybę p. Zygmunta Nagrodzkiego w tamtej okolicy, ale to wiem, że każdy, kto tam stąpi nogą, staje się odrazu poetą z Bożej łaski, tak powłóczyście zwieszają się tam brzozowe warkocze ponad cichą, ustronną wodą, tak legendarnie splatają się krzepkie stare dęby na pochyłem wzgórzu i szumią liśćmi jakieś odwieczne podania i baśnie.

A po tem wszystkiem pomyślmy, jakby wyglądał krajobraz, gdyby skopane, wyprostowane, uregulowane koryto rzeki wtłoczono w okolicę, pociętą linjami szos, kwadratami pól i osad, najeżeniem telegraficznych słupów i pospolitością uprzemysłowionego mrowiska ludzkiego bytowania. Czybyśmy wtedy tak łatwo odnaleźli *surową, prostą, i dziką* duszę tego krajobrazu, która teraz wyraziście przemawia do naszej i wibruje z nią harmonijnym rytmem radości życia w bezludnej swobodzie?

Na końcu wędrówki po wileńskim pejzażu, która tak niewielką cząstkę jego piękna ukazać zdołała, a trwać mogłaby w nieskończoność, napijmy się chłodnej źródlanej wody w jakiejś krynicy pod kamieniem, i zejdźmy w dolinę, ku wiejskim siedzibom, by tam w zasłużonym wypoczynku tę podróż zakończyć.

Każda wileńska wioska będzie wymownym dowodem, że istnienie człowieka, poddanego ziemi, nie przeciwstawia się charakterowi krajobrazu, lecz się do niego przystosowuje. Wiemy dobrze, jak fałszywie i rażąco wyglądają gdzieindziej domy murowane, o stromych i wysokich szczytach, z dachami jaskrawo farbowanemi lub świecącemi martwemi plamami blachy albo cementu. Pamiętamy, jak ordynarnemi sześcianami panoszą się tam płaskie szopy, czarną papą kryte i niezgrabne wysokie stodoły z desek sklecone.

U nas tego rozdźwięku nie znajdziemy. Chłopska stodółka czterospadkową strzechą przywarła do ziemi i, malowana rdzawo-buremi tonami omszałego głazu, jednoczy się z otoczeniem w barwie i bryle równie doskonale, jak chłop odziany w zgrzebną biel płótna, lub w szarzyznę i brunatność domowego sukna. Chłopska chata dwuspadkowa skośnem, głębokiem ścięciem dachu na przednim szczycie przypomina znowu wyrostka z czapą nasuniętą na oczy. Wiotkie budowanie w drzewie i słomie nie odważa się stawiać oporu wichrom, przewalającym się przez równinne przestrzenie, więc przezornie tuli się do ziemi i w nią wrasta. Tak samo zresztą przypadają do ziemi i dwory nasze, przestronne, szerokie a niskie, zawsze z charakterystyczną przewagą wymiarów poziomych nad pionowemi, czyli z podstawą mocną i przysadzistą. Jeśli zagrają w słońcu bielą kolumnowego ganku, to zaraz dachem przezornie spływają ku sadom i kąpią się w opiekuńczej gęstwinie ogrodowych drzew. A charakter dworów doskonałem zwierciadłem ukazuje duszę tych, co je zamieszkują, zrośnięci z ziemią tak mocno, jak nigdzie może w całej Polsce, i żyjący jej życiem w obcowaniu ścisłem i serdecznem. Dwór nasz jest ozdobą i uwieńczeniem krajobrazu i nigdy się z nim nie kłóci, jeśli tylko budowany był przez zasiedziałego autochtona-ziemianina, a nie przez obcego przybysza.

Jeden tylko dom boży, wyniośle i okazale zmurowany w cegle lub w kamieniu rękami wiernych, odważnie wyzywa wichry i burze i strzela ku niebu parą białych wieżyc barokowych. Podobnie, jak wysmukłe włoskie topole wśród krągłych, sklepiennych zadrzewień dworu, tworzy kościół piramidalne zwieńczenie krajobrazu i łączy go z błękitem niebieskiego ogromu.

Bo człowiek wiejski dwa tylko rodzaje budynków stawiać u nas umiał i potrzebował: te, w których żył i pracował na ziemi i te, w których wznosił się duszą do nieba. Innych nie znał. Więc te jego budowania musiały mieć piękno prostoty albo wzniosłości i wyrastały

z ziemi i krajobrazu, jak trawy i drzewa. A wyrastając, tworzyły nowe ogniwo miłosnego zbratania i upodobnienia pomiędzy ziemią a jej mieszkańcami.

I tak splatały się ze sobą, wspierały się wzajemnie i umacniały—dusza człowieka i dusza ziemi, wieczystym ślubem nierozerwalnie związane.

A dzieckiem tego serdecznego związku ziemi i człowieka, dzieckiem miłości, wierności i bezgranicznego oddania — jest nasz krajobraz.

Dziecko jest jedyne i tak cudnie piękne. Czyż można go nie kochać?



SPIS OBRAZÓW:

TEGOŻ AUTORA:

1. MOJA ZIEMIA. POEMAT OPISOWY WIERSZEM. — WILNO 1919. NAKŁADEM LUDWIKA CHOMIŃSKIEGO (WYCZERPANE). —
2. FOTOGRAFIKA. PODRĘCZNIK FOTOGRAFJI ARTYSTYCZNEJ. Z 75 ILUSTRACJAMI AUTORA — WARSZAWA 1931. NAKŁADEM TRZASKI, EWERTA I MICHALSKIEGO

DRVKARNIA
LVX